Ner 17. Ćwierćrocze od 1go Kwietnia do 1go Lipca. 1863.

w księgarniach Krakowskich
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 » — » »
Kwartalnie . 1 » 50 » » »
Miesięcznie .— » 50 » » »
Z Modami paryskiemi.
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 10 » » »
Kwartalnie . 2 » 55 » » »
Miesięcznie — » 85 » » »

Prenumerata wynosi:

ROK III.

NIEWIASTA.

zamiejscowa wraz z opłatą pocztową
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 » 60 » » »
Kwartalnie . 1 » 80 » » »
Z modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 70 » » »
Kwartalnie . 2 » 85 » » »

»Niewiasta« wychodzi co tydzień

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Król. Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 cent. w. a. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 30 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza.— Rękopismów Redakcya nie zwraca.—Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmują wszystkie księgarnie.

Conieco o wychowaniu dziewcząt wiejskich.

(*List ks. Wojciecha z Medyki.*)

II.

(*Ciąg dalszy.*)

Gdzie jest szkoła, czy w miasteczku, czy na wsi, tam zwykle uczą się chłopcy z dziewczętami bez różnicy: czytać, pisać, rachować i katechizmu. Dla chłopca jest to zamało, bo umieć czytać, pisać, to dopiero klucz do dalszej nauki — a zwykle chłopcy wiejscy na tem poprzestają. Nam nie miejsce o tem dalej rozprawiać, nam chodzi o dziewczęta. Jeżeli umieć czytać i pisać jest zamało dla chłopców, to dla dziewcząt jeszcze mniej: boć dziewczyna wiejska ma być później gospodynią i matką i babką. Wprawdzie nauczy się dziewczyna przy swej matce wiejskiego gospodarstwa; ale jak nisko stoi wiejskie gospodarstwo między chłopami, jak się odbywa gotowanie potraw, pieczenie chleba, szycie bielizny, robienie masła, sera itd. to znają dobrze te Panie, które bez dumy i zarozumiałości zbliżyły się do ludu i rade odwiedzają te lepianki, co... jak gniazda jaskółcze... otaczają dwór, a nieraz z pomiędzy osetu i burzanów wyglądają jak stare grzyby, albo jak ostatni żebrak popodpierany naokoło kulami i obwieszony brudnemi torbami. Ani w gospodarstwie na polu, ani w domu, ani w gotowaniu potraw, ani w szyciu bielizny i t. d. niema tu żadnej poprawy, żadnej zmiany: co matka robi i jak to robi, to samo robi i córka—w tym względzie każda wieś, to jakby odłamek od nieruchomych i skośniałych Chińczyków.

Jaka jednostajność panuje tu co do powierzchowności, taka sama panuje co do duszy i serca. Między matką a córką ta różnica, że córka idzie z książką do kościoła i potrafi pieśni pobożne i litanie śpiewać. Można powiedzieć, że życie religijne jest tu więcej powierzchowne, oparte na odprawieniu modlitw, postów i obrzędów kościelnych, niż oparte na sercu i sumieniu. Życie więc religijne nie tryska z przekonania i woli dzielnej; ale raczej ze zwyczaju raz na wsi przyjętego i przestrzeganego od małego do wielkiego. I moralność nie jest tu dziełem wolnej woli, sumienia jasnego; ale raczej skutkiem bojaźni, hańby i zwyczajów — to też moralność wiejska ludu jest prosta, sięgająca do rzeczy ziemskich, materyalna, a mało styka się ona z rzeczami nadziemskiemi—lud wiejski ma najmniej rozwiniętego zmysłu piękności, on zna Niebo, ale wszystkich odcieni cnót i ofiar i poświęceń ani zna, ani się troska o nie. Jeżeli pod względem religijnym stoi nisko, bo nie zna dobrze artykułów wiary, a tem mniej zasad czystej moralności, to jeszcze niżej stoi pod względem uczucia narodowego. Bóg to osądzi, a może już osądził, i karze tych, którzy zawinili w tym względzie.

Widzicie Panie, że obrazek ludu wiejskiego nie bardzo pieknemi kolorami może być oddany—a gdy do tego obrazka dorzucimy to błoto, które nieprzyjaciel i zły duch ponarzucał w tych latach na niego, to nie jeden już i tak mdły kolor do reszty sciemnieje, a nasz chłopek wyda nam się więcej bydlęciem niż człowiekiem i synem XIXgo stulecia. A jeśli... jako kapłan i brat jego, muszę zmniejszyć winę jego i zwać go człowiekiem, to muszę to powiedzieć, że nieboraczek pozostał gdzieś za wami Panie! daleko za wami. Jeżeli chłopek stoi nisko i nie jest ziarnem na roli w XIX wieku, choć się włóczy po świecie i ciągle się ociera o ludzi, i niby jest rządcą swej gminy, to cóż powiemy o kobietach, które siedzą zamknięte w chyży, pilnują ciągle ogniska i kolebki, i ledwo na odpust bliski albo do swego kościoła zajrzą? Oprócz uczucia matki i to nieraz na niskim stopniu, oprócz uczucia biedy i nędzy i jakiej takiej wdzięczności ku tym, co poratują i pomogą w biedzie, oprócz uczucia religijnego, które zwykle u kobiet jest goretsze niż u meżczyzn, nie szukajmy u włościanek wyższych uczuć innych,—a jeźli się trafią, to wyjatek albo wpływ jaki zewnetrzny tego przyczyną. Otóż wypada ztad, że masa ludu jest materyalnie wielką i cieżką;.. ale moralnie mało zaważy. Materyalnie czyli ilościowo jest

ta masa dostateczną na całość narodu; ale moralnie czyli jakościowo jest niedościgła i niedojrzałą do celu Opatrzności, jest dzieckiem dla nas, a więc zróbmy z niego męża, a przynajmniej młodziana polskiego — a z tych kobiet zróbmy dobre Polki i dobre matki i dopomóżmy im wychowywać ich córki po bożemu, a dopełnimy obowiązku, naprawimy co poprzednicy i wrogi zaniedbali lub popsuli.

A jak to zrobić? praca i poświęcenie to zrobi! Zwykle dziewczęta, które chodziły do szkoły, zapominają to, czego się uczyły — boć ciężka jest dola każdej dziewczyny wiejskiej u matki, a cięższa na służbie. Ledwo podrośnie, a już musi matkę wyręczać we wszystkiem, i ledwo jej czasu stanie na pacierz i do kościoła w niedzielę. Otóż dla uczenia tych dziewcząt zaprowadzajmy co święto po południu tak zwane godziny powtarzania. Ksiądz dobry pojmie, co tu ma robić i jak uczyć moralności i opowiadać coś z biblii i historyi narodowej itd., a znowu wy Panie poświęcie godzinę tym biedaczkom, a jeźli wy nie możecie, to niech to zrobią wasze córki, albo sama nauczycielka waszych dzieci, jeźli jest Polką, albo nareszcie i panna dworska, czy to pokojowa czy szafarka — uczcie te dziewczęta czy to gospodarstwa opowiadaniem, czy sposobu ratowania się w różnych chorobach, czy dziejów naszych, czy geografii naszej, czy ogrodnictwa i hodowania kwiatów i jarzyn itd., albo jeżeli chcecie więcej czasu dla nich poświęcić, to każcie im i w tygodniu przychodzić do szkoły albo do dworu, i tam ich uczcie szycia bielizny, rozumie się po narodowemu i po zwyczaju miejscowym; tam ich uczcie pieczenia chleba, zaczyniania ciasta, aby się chleb nie odsiadał; tam ich uczcie gotowania wiejskich i prostych potraw, aby one umiały porządnie, czysto i smacznie gotować barszcz, kapustę, kaszę i inne jarzyny — tak ich prowadźcie przykładami do lepszego życia. O! nie wstydźcie się Panie tych ogorzałych rąk i twarzy tych dzieci, wszak one jakby wasze dzieci, mówiąc po patryarchalnemu i po polsku, wszak to filary Ojczyzny, dla której wy tyle poświęcacie, wszak to dzieci jednej wiary, którą wy jako Boską i jako dźwignię waszej Ojczyzny wyznajecie, wszak to dzieci kościoła tego, do którego i wy z dziatkami waszemi chodzicie i tam się modlicie o Ojczyznę, śpiewając razem na klęczkach: Boże . . . . wszak to dzieci, które pilnują waszych dworów i pomagają wam w robocie... wszak i one razem z wami legną na jednym cmentarzu pod jednakim krzyżem! I cóż za korzyść ztąd dla was? Oto możecie mieć z tych prostych dziewcząt najlepsze do dworu praczki, kucharki, pokojówki i mamki i piastunki dla waszych dzieci — będą wam wierniejsze niż owe Niemki suche, niż miejskie kobiety rozpustne i lampartki, albo owe elegantki Francuzice — one się wyrobią koło was na gospodynie, matki i Polki... i będą was tak naśladować we wszystkiem, jak naśladowały rodne swoje matki — i one wychowają nowe plemię, silniejsze na duchu, czysto narodowe, a wy Panie staniecie na ich czele na ziemi, pono i w niebie!

Gdzie niema szkoły, tam można gromadzić dziewczęta do domu. Ksiądz gromadzi dziatki na plebanii i uczy je; to mu stanie za słodką rozrywkę, osobliwie w zimie w chwilach nudy. A dziatki chętnie chodzą, bo one rade temu gdy znają liczby, gdy umią czytać, gdy potrafią w kalendarzu znaleść dzień świąteczny, i chełpią się, gdy idą z książką do kościoła. Niech robią to samo i Panie we dworze.

Zawsze można we dworze wyznaczyć jeden pokój na to, a wtedy może uczyć i Pani sama, albo która z córek albo i kto inny tak samo, jak to wyżej powiedzieliśmy. We dworze chętnie przesiedzą dziewczęta godzinę nad szyciem, bo te próżne trzpiotki lubią się stroić, lubią mieć koszulki i gorsety po krakowsku albo czerwoną taśmą wyszyte; lubią spodniczki wyszywane, lubią warkocz ładnie spleciony, lubią cienkie i białe chusty. I rodzice cieszą się z tego, kiedy córka sunie do kościoła lub na wesele w bieli, kiedy ma przystęp do Pani, kiedy i panny z nią pogwarzą czy to pod kościołem, czy na polu w czasie żniwa, czy na pogrzebie. Korzyść ztąd ta, że się wiejskie dziewczęta uchronią od naśladownictwa obczyzny i zasmakują w stroju narodowym.

A cóż zyska ich serce i dusza? Oto przykładami dworu uszlachetni się to proste serce, stanie się czułe na widok biedy, skore do usługi w potrzebie za darmo, chętne do pomocy dla chorych, przychylne dla dworu — a dusza prosta nałyka się różnych zdań wzniosłych i prawdziwych o przeszłości narodu, o upadku Ojczyzny, o sposobie dźwigania narodu, i z takich dziewcząt wyjdzie nie jedna dziewica orleańska dla Polski, nie jedna siostra miłosierdzia, która się poświęci usługom rannych, niesieniu ulgi w szpitalach polnych. Jeżeli chcecie Panie prowadzić te dzieci natury do celu waszego, to łączcie się z temi córami wsi nawet w kościele w różne bractwa święte, stawajcie na przedzie jako najstarsze siostry, a wpływ wasz będzie i tu bardzo wielki. Każde takie bractwo ma cel moralny w kościele, aby dziewczęta były pobożne i niesplamionego życia. A wy dołączyć możecie poza kościołem cel narodowy. Oto częstem schadzaniem się z temi dziećmi macie sposobność objaśniać, uczyć — a nawet prędzej przyjdą one do was do dworu na naukę i na radę, jeżeli pobratają się z wami w kościele przez bractwo religijne. Co święto możecie mieć te siostry u siebie, czy to na gościnie, czy na radzie — a czegóż dopiero nie możecie robić we wsi z biednemi i choremi przez takie siostry? One chorych wyszukają, do dworu doniosą — one nowiny złe i dobre pozbierają i do dworu pobiegną o radę pytać — one wam o łzach biednych i o krzywdzie wdowy doniosą — one wam doniosą o różnych grzechach na wsi — a Wy, jako rozumne i dobre Polki, razem

z księdzem, potraficie złe udusić a cnotom nadać wzrost. One wam prędzej powiedzą niż księdzu, bo są rzeczy, których powiedzieć księdzu nie ośmielą się, ale wam Panie powiedzą. Jeżeli możecie, to róbcie ze składek pensye dla dziewcząt, i uczcie na tych pensyach. Składki takie mogą się zebrać podobnie, jak na inne dobroczynne cele. Gdy się znajdą przedsiębiorcy do tego, znajdą się i serca chętne i ofiary... a nie jedna dobra Polka oszczędzi sobie w czem innem, aby złożyć bodaj grosz wdowi na takie wiejskie pensyjki. Na tych pensyjkach może uczyć organista miejscowy czytać, pisać, rachować — ksiądz może uczyć religii i innych rzeczy, a wy Panie tego, co dziewczętom do życia potrzebne. Niema w naszym kraju szkół dla dziewcząt wiejskich, niema pensyi żadnej — jedna księżna Ditrichszteinowa z Potockich złożyła znaczny kapitał, i powstała w Łące pod Rzeszowem szkoła dla dziewcząt i sierót wiejskich, ale tam przyjmują tylko z dóbr Potockich dziewczęta. Teraz zakonnice dozorują tam i uczą.

Przez dwa lat uczyłem sam w tym zakładzie; dziewczęta miały mieszkanie, ubiór i stół, miały pannę, która uczyła szyć, haftować i t. d. a która dziewczyna dorosła i miała iść za mąż, był jej obiecany posag na wyprawę. Gdyby się znalazły podobne Panie, coby ofiarowały kapitalik jaki na szkoły wiejskie dla dziewcząt, udowodniłyby wielkiego patryotyzmu i wielkiej miłości Boga: bo ten patryotą dobrym, kto się stara o oświatę między ludem, kto podaje bratnią dłoń temu ludowi, kto daruje winę przeszłą a pracuje dla dobrze zrozumianej przyszłości.

Nasza cała potęga spoczywa na tych masach, które trzeba do życia umysłowego i moralnego pobudzić! Nieraz można czytać ogłoszenie, że ktoś ofiarował kapitalik na stypendya dla chłopców—alem jeszcze nie widział nigdzie ogłoszenia, aby ktoś zmiłował się także nad dziewczętami, i dla pilnych i dobrych wyznaczył jakie stypendya. A przecież musimy wyznać, że dla chłopca świat otwarty, on się przebije siłą własną— a nie tak się dzieje z dziewczętami! musimy wyznać, że na matkach dobrych wszystko polega, a przecież najmniej zrobiliśmy dla dziewcząt wiejskich, aby były z nich matki jak potrzeba. Każdy przyzna, że przez szkółki dla dziewcząt wiejskich dójdziemy najprościej do naszego celu. Jest to środek niby nowy, ale najskuteczniejszy, aby masy poruszyć i dla nas pozyskać.

(C. d. n.)

SIOSTRZENICE MAZARINIEGO.

(Wspomnienie historyczne.)

Mało znajdzie historycznych obrazów o tak ciekawych rysach, jak w dziejach kardynała Mazariniego, otoczonego siedmioma siostrzenicami i trzema siostrzeńcami, dziećmi jego dwóch sióstr: Mancini i Martinozzi. Syn sycylijskiego kramarza, który wdarł się na stanowisko najwyższej władzy we Francyi, który armatniemi strzałami zmusił papieża, do ubrania głowy swojego brata czerwonym kapeluszem, jest już sam przez się ważną figurą— Romantyczna strona historyi jego życia jest ściśle związaną z owemi siedmioma siostrzenicami, wsławionemi pięknościami... ówczesnego świetnego i zdemoralizowanego dworu francuskiego, a które wielki wujaszek powydawał za ludzi należących do najświetniejszych rodzin; ba! jedna z nich była matką królowej angielskiej.

Rozumie się, że gdyby nie Mazarini, historya ani jednem słówkiem nie wspomniałaby o jego siostrzeńcach i siostrzenicach. Tak sprowadzane pojedyńczo z Włoch, dzieliło to kuzynostwo złą i dobrą dolę ze swoim wujaszkiem i było razem z nim przedmiotem nienawiści francuskiego narodu.

1.

Laura Mancini była pierwszą na liście szczęśliwych młodych Włoszek, które potężny wujaszek postanowił wynieść wysoko nad stan ich pradziadów i prababek, koczujących kramarzy. Laura poszła bardzo świetnie za mąż. Została księżną *Mercoeur*. Mąż jej był synem Vendome'a, syna Henryka IVgo i pięknej Gabryeli. Najstarszy syn Laury Mancini był ów wielki Vendome, jeden z najwaleczniejszych jenerałów, ale zarazem i najobrzydliwszych cyników swojego czasu. Oprócz Mercoeur'a starało się jeszcze wielu innych o rękę Laury, gdyż każdy był przekonany, że biorąc siostrzenicę kardynała za żonę, bierze razem z żoną nadzieję wysokich urzędów, orderów, pensyj i rozmaitych przywilejów. Było już blisko do tego, że miała pójść za młodego księcia Candale, lecz oblubieniec umarł jeszcze przed ślubem — ten zaś wypadek mogła Laura nazwać szczęściem, gdyż młody Candale był tego samego usposobienia co i jego ojciec; a stary książę miał między innemi nawyczkami i tę także, że publicznie bił żonę.

Nim jeszcze Laura poszła za Mercoeur'a, został Mazini z rodziną skazany przez Frondę na wygnanie. Pomimo odgrażań nowych władzców... Mercoeur został wiernym swojej damie. To też jego stałość lub może dobre wyrachowanie zostało z powrotem kardynała do władzy sowicie wynagrodzone. Młode małżeństwo żyło szczęśliwie—lecz to szczęście trwało krótko. Wydawszy na świat trzecie dziecko, umarła Laura tknięta apopleksyą. Zmartwiony wdowiec został księdzem, a dowód tego żalu za nieboszczką sprowadził mu najwyższe kościelne godności. Umarł kardynałem i legatem papiezkim przy francuskim dworze.

2.

Anna Marya Martinozzi w szesnastym roku życia

swojego... cud piękności, która w sploty swoich włosów łowiła wszystkie serca, poszła nie tak szczęśliwie jak kuzynka, ale daleko świetniej za mąż. Została żoną przystojnego, ale maleńkiego, ograniczonego księcia Conti, brata Wielkiego Condeusza. I o Annę starał się także Candale, ale Conti wysadził go, który znowu ze swej strony otwarcie i wszystkim bardzo często powtarzał, że biorąc rzeczy ściśle jemu wszystko jedno, którą weźmie ze siostrzenic kardynała, bo jego zamiarem jest „ożenić się właściwie z kardynałem.“ Pomimo tego był bardzo zazdrosnym o swoją żonę, chociaż mu do tego nigdy najmniejszego powodu nie dawała. Samego króla, który zaczął się do niej umizgać podczas męża nieobecności na balu, zgromiła ostremi słowy, lecz na rozkaz Mazaryniego musiała obrażony majestat przeprosić. Poniewierana z początku przez męża, zdołała sobie nareszcie zjednać jego współczucie, szacunek i miłość. Książę umarł w r. 1666. Żona umarła w sześć lat później. Marya miała dwóch synów, z których starszy był owym odważnym i dowcipnym księciem Conti, kandydatem do tronu polskiego—a którego *Saint-Simon* nazywa bóstwem narodu, ideałem armii i ozdobą rodzaju ludzkiego.

3.

Laura Martinozzi, młodsza siostra Anny Maryi, przepędziwszy tylko dwa lata we Francyi pod opieką swojego wuja i przybranej matki Anny austryackiej—poszła za mąż w szesnastym roku życia swojego, za Alfonsa księcia Modény. Jak i inne zacne i cnotliwe siostrzenice Mazaryniego musiała i Laura wkrótce opłakiwać śmierć swojego małżonka, który wprawdzie razem z ręką kardynalskiej kuzyny spodziewał się i protekcyę tegoż uzyskać—ale pomimo tego z zadania mu powierzonego, jako komendant wojskowy chlubnie się wywiązał. Umarł roku 1662 w dwudziestym ósmym roku życia swojego, znękany nieustającemi napadami pedogrycznemi. Laura Modeńska była regentką aż do pełnoletności syna Franciszka, a przez czas panowania swojego okazywała się zawsze wiernym sprzymierzeńcem Francyi. Jedyna jej córka Marya Beatriks została żoną Jakóba II, króla angielskiego. Chwalą Laurę jako najlepszą z matek, a przecież wiemy z opowiadań nieszczęśliwej Maryi Beatriks w klasztorze *Chaillot*, że jej matka była kobietą nadzwyczaj surową, że za najmniejsze przewinienie szturkała, szczypała i po policzkach biła swoje dzieci, a za większe przewinienia do krwi rózgami siekała. Lecz nie można milczeniem pominąć, że Marya Beatriks tej surowości nigdy nie przyganiała matce, owszem uważała ją jako próbę, która ją przygotowała do poddania się nieszczęściom, jakie ją później trafiały. Laura Modeńska umarła w Rzymie. Jest ona ostatnią z rzędu tych siostrzenic Mazaryniego, które się odznaczyły poczciwością i cnotą.

4.

Olimpia Mancini była równie jak jej siostry i kuzyny wychowywana pod dozorem Anny Austryackiej, do której Mazarini pisywał listy o wychowaniu. Olimpia nie była tak piękna, jak jej kuzyna Anna Marya; lecz w ruchach i obejściu się z ludźmi była naturalniejszą— potrafiła ona zająć do tego stopnia młodego Ludwika XIVgo, że mogła mieć nadzieje zasiąść obok niego na tronie. Ta nadzieja o ile ożywiała Mazariniego, o tyle do wściekłości doprowadzała Annę Austryacką. Długi czas była młoda para prawie nierozdzielną. W każdym na nadwornej scenie przedstawionym balecie, w którym jak zazwyczaj Ludwik XIV odegrał rolę jakiego bożka, przedstawiała zawsze Olimpia jaką nimfę, do której Apollo albo Jupiter czuł szczególniejszą sympatyę.— Już w pierwszej młodości splamił oddech króla zwierciadło jej sławy. Kochała go i po jego ożenieniu, lecz nienawidziła jego żony. Mazarini wydał ją za *Eugeniusza Carignan* z domu Sabaudzkiego, który przez swoją matkę był spokrewniony z Burbonami linii Soisson-Carignan odziedziczył królewski tytuł hrabiego Soisson.

Hrabina Soisson nie zakosztowała szczęścia w swojem życiu. To zyskała, to traciła serce króla. Dzisiaj oszukała innych swoich kochanków, jutro została znowu od nich oszukaną. Jej głównem i najprzyjemniejszem zatrudnieniem było intrygowanie młodych faworytek, cieszących się przywiązaniem niestałego Ludwika XIV. Hrabina Saisson miała ośmioro dzieci, dla których nie była dobrą matką. Jedno z tych dzieci okryło się zasłużoną sławą.

POEZYE

Amalii Pruszakowej z Chrz.

(Zobacz Nr. 13.)

III.

TĘSKNOTA.

Komuż dzisiaj spojrzę w oczy,
Czyją rękę czule ścisnę,
Dokąd wdzięczny uśmiech zboczy,
Komu białym ząbkiem błysnę?

Gdy nie widzę koło siebie
Tego, co jest mym promieniem,
Co choć słońca brak na niebie
W świat mój świeci swem spojrzeniem!

Błękit nawet dziś ponury,
Walczą na nim z światłem cienie,

Słonko wyjrzy z poza chmury,
I znów skryje swe promienie.

Tak, jak uśmiech... rozbudzony
Słodkiem serca przypomnieniem...
Znika w chwili, przytłumiony
Łezką w oku i westchnieniem.

I natura zasępiona,
To się cieszy, to się smuci,
A w mej duszy myśl stęskniona,
To uleci, to powróci; —

Tak uczucia i wrażenia
Walczą sprzeczne między sobą,
To nadzieje: to wspomnienia
Zmrok wieczorny z ranną dobą —

Niechże cień i mnie otoczy,
Gdy mej dłoni on nie ściska,
Niech się przyćmią smętne oczy,
Gdy w nich tylko łezka błyska.—

IV.

PIOSNECZKA.

Jakby różany pączek jej buzia,
Która wesoła
Piosnka odmyka, patrzcie! to Rózia!
Żywa jak ptaszek, nuci i woła;
I chcąc wianuszek uwić w swawoli,
Ruzia, w złocistych kłosach rozsiane
Zbiera dowoli,
Zbiera kwiateczki, bławatkiem zwane—

Jasny włos błyszczy w splotach rozwity
Z lekkiej zasłony.
W chwili, gdy gwiazdka wschodzi w błękity
Wiodąc pasterza w rodzinne strony,
Ruzia się w łąkach bawi stokrótką,
Z sercem bijącem bada w cichości
Gwiazdkę malutką,
Która tajniki zdradza miłości —

Śliczne bławatki w wieniec plecione
W chwilach młodości,
Piękne kwiateczki wiosną zbudzone,
Lube wyrocznie pierwszej miłości,
Wszystko zwiędnieje Ruzio! i minie,
Przyjdzie czas szybko, gdzie wsród zwątpienia
Dłoń twa... jedynie
Kwiaty rwać będzie— w polu wspomnienia.

V.

PUELLA.

(Sonet z franc. p. Soulary.)

Już rzeźbiarz... dni, noce, tygodnie, miesiące
Swój model przerabiał, lecz praca szła zwolna,
Bo glina natchnieniu nie była powolna,
A kształty jak przedtem zostały rażące; —

Patrzący nań uczeń, rzekł: „sztuka mozolna,
„Ja mistrzu spróbuję“ — a usta miał drwiące —
„Już lalki robiłem, mam chęci gorące,
„W tem właśnie mój talent, i ręka ma zdolna.“

Tak mówiąc, wziął lalkę; — już oko promienne,
Tors kształtny, pierś krągła, bić serce poczyna;
„Patrz mistrzu!“ zawołał — „dowody niezmienne,
„Wszak czujesz, że żyje, a cudu przyczyna,
„Żem miłość — bądź zdrowy, masz dzieło bezcenne,
„Lesz strzeż go od szkody, bo krucha jest glina.“

VI.

DO LISTU.

(Sonet.)

Posełam cię, lecz dokąd? dowcip twój odgadnie,
Na ustach twoich kładę talizman milczenia,
Przechowaj tajemnicę czucia i wspomnienia,
Aż ręka ją uchyli, która sercem władnie —

Wzrok luby i płomienny, gdy na ciebie padnie,
Natenczas oddaj wszystkie skarby twe, natchnienia,
Ukryte myśli w duszy, tęskność i westchnienia,
Co pióro nie określi; lecz—on pojmie snadnie.

Szczęśliwyś ty posłańcze!.. jak zazdroszczę tobie!
Ty spojrzysz w jego oczy, może łza w nich błyśnie,
Rozsiejesz wonie, wdzięki, w które cię ozdobię...
W radości i do serca może cię przyciśnie,
Oddając duszę przecież, wstrzymasz ją przy sobie,
Gdy dusza ma na wieki przy nim już zawiśnie.—

TRZY GODZIN,

NOCNE WIDZENIE;

przez Józefa Dzierzkowskiego.

III.

Mgliste obrazy.

(Ciąg dalszy.)

Cudny był to dzień wiosny, pełen światła, tej woni i tej świeżości, które wciskając się w każdą pierś czło-

wieka, jak z drzewa listku paczki, tak z niej dobywają marzeń tysiące i tysiące nadziei. Bo na wiosnę wszystko kwitnie i odżywa na świecie, podobne do zdroju, który łamiąc zimowych lodów pęta, zaszemrze zaczarowanym głosem swobody na wtór niebu, co najczystszem światłem promienieje; ptaszkom, co pod niem najpiękniejszemi dźwięczą głosami; i ziemi i ludziom, którzy wesołym gwarem do nowego budzą się życia.

Wśród marzeń i nadziei, wśród woni i pączków wiosennych!.. pojawił się *on!* ten on upragniony a nieznany, wypieszczony tęsknem a niepewnem marzeniem, przystrojon w wszystkie skarby młodej siebie nieświadomej wyobraźni. Cudna to ta chwila przejścia z marzeń w życie!.. jak gdy pączek nagle w pełny i barwny rozwinie się kwiat!.. I dziewczyna od razu poznała tego wymarzonego. Ledwie go ujrzała, już poznała, że to *on!..*

Dom rzeźbiarza, na przedmieściu położony, miał ładny choć nie wielki ogródek, jednym bokiem przeźroczystych sztachetów przypierający o samotną uliczkę rzadko uczęszczaną. Pod kasztanem, co.. jak młodzieniec życia i miłości żądny, pierwszy się rozwijał, pod zielonym a rozłożystym siedziała Madelina zamarzona tak głęboko, że jak z oka tak z myśli znikło wszystko codzienne, co ją otaczało. O czem marzyła?.. Darmo sobie przypominać w późniejszej życia dobie, o czem się tak błogo za młodu marzyło!.. Cudne to sny na jawie!.. przypomnienia raju nieznanego nigdy! przeczucia równie nieznanej przyszłości!.. I w młodem łonie żarzy serce, bo w tym pół śnie, jest jakoś wszystko pokryte tajemniczością, co tak bardzo nęci młodą i żywą wyobraźnię. Wiecznie to prawdziwa cudna bajeczka o tym posągu zasłonionym, przed którym drży bojaźnią i nadzieją, tęsknotą i żądzą młodzieniec zapalony, i rożek zasłony, nieśmiałym palcem ujęty, fałduje się i mieni tak rozmaicie przed okiem wytężonem!.. I drży i waha się... krew mu w żyłach żywym bieży płomieniem, a podnieść zasłony obawia się, jakoby świętokradztwa. Aż przyjdzie chwila złowroga!. Już podniósł zasłonę!.. marzenia znikły!.. ujrzał rzeczywistość nagą... ozwał się bolesny jęk odczarowania, jak od struny pękniętej w pół tonu najdźwięczniejszego.

Długo tak marzyła Madelina pod zielonym kasztanem zachwycona wiosenną ogródka wonią, gdy nagle uczuła ból jakby od żaru piekącego!.. Czy to słońca promień zanadto gorący?.. o nie!.. Podniosła głowę i ujrzała z za firanki zielonej, jak przez szczeliny sztachetowe świeciło coś ku niej dziwnym blaskiem, a paliło żarem najgoretszym!.. To dwoje oczu patrzało na nią— to był on!.. to były jego oczy!.. ale jakie oczy?.. jak je od razu ujrzała, tak utkwiły jej na zawsze w piersi swym blaskiem cudownym... Błękitne były jak niebo... o modrych falującego się morza odcieniach, i jak morze przepaściste, głębokie, niezgruntowane!.. Madelina poznała od razu wymarzonego, upragnionego, choć go nie znała dotąd!.. I była pewna, że to on!.. Jakoż się nie omyliła.

Zarumienili się oboje zawstydzeni!. on, że patrzał tak długo!.. ona, że to postrzegła. I tu niewidoma iskra elektryczna, ten sercowy telegraf, który starożytna poezya strzałą Kupidyna odmalować się starała, przemknęła tam i napowrót tajemniczem oboje przenikając drżeniem...

Długo trwało, zanim przemówili do siebie!.. Oczy tylko mówiły i mówiły długo, zanim przyszło do słów. On był także bardzo młody jeszcze, i jakby na gorącym złapany uczynku, nie wiedział jak się miał odezwać. Przypadek sprowadził go na tę bezludną ulicę, a raz ujrzawszy piękną dziewczynę, nie mógł się oderwać od jej widoku. Rozumiał przecie, że mu się ozwać trzeba koniecznie, i już kilkakroć nawet otwierał usta, co mu zresztą wielkiej nie przyniosło szkody, bo usta miał rumiane, a ząbki wielkiej białości.

— Ja!. wydobył wreszcie z siebie i zamilkł.

— Przepraszam! dodał, i już dalej mówić na żaden sposób nie mógł.

Ależ bo tak pociesznie w tej chwili wyglądał, że w Madelinie przemogła pusta śmiałość jej właściwa, i... mimowoli uśmiechnęła się. Młodzieniec stanął jak wryty a twarz paliła mu się najjaskrawszym pasem. Żal się go zrobiło Madelinie...

— Pan szuka czego?.. zapytała, i na nią przyszła kolej rumienienia się.

Dźwięczny i świeży głos Madeliny dobił młodzieńca do reszty. Jął się zatem oglądać, jakby w koło siebie szukał ratunku. Na szczęście ujrzał na dziedzińcu poukładane płyty kamienne na pół już dłutem obrobione.

— Tu mieszka podobno kamieniarz!.. brnął biedny młodzieniec na los szczęścia dalej...

Madelina, choć niedoświadczona wcale, ale się przecie domyśliła i pojęła ambaras młodzieńca, więc też pół głośnym parsknęła śmiechem, ale poprawiając się co prędzej przemówiła...

— Nie kamieniarz właściwie... ale ma z kamieniem do czynienia.

— Bo ja!.. właściwie...

— Chcesz pan nadgrobku może?. powiedziała z tak prostą i szczerą wesołością, że i młodzieniec zaśmiał się, i już śmielej odpowiedział

— Mnie jeszcze nadgrobku nie trzeba!..

— Czy pewnie?..

— Tak mi się zdaje!..

I roześmiali się oboje, tym szczerym, młodym śmiechem, w którym, zda się, są jeszcze przypomnienie i tony dziecinne.

— A naćoż pan kamieniarza potrzebuje?

— Bo!.. zaczął i spuścił oczy...

— Może pan szuka rzeźbiarza?..

— A rzeźbiarza!.. tak rzeźbiarza!..

— Tego co tu mieszka?..

— A!. tego samego!..

— Pan go zna?. indagowało go dalej nielitościwie puste dziewczę..

— Znam!.. to jest...

— Rzeźbiarza czy rzeźbiarkę?.. mówiła Madelina dalej, i lekko skoczywszy z siedzenia swego, zbliżyła się ku sztachetom.

Serce uderzyło żywiej w młodzieńca piersi, ale patrząc na poczciwą i uśmiechniętą twarz pięknej dziewczyny, zebrał całą odwagę.

— Pani żartuje ze mnie!..

— Bardzo przepraszam!.. w tym domu mieszka rzeźbiarz, a ja—dodała i dygnęła wesoło—ja jestem rzeźbiarką!..

I już byli blisko siebie!.. i oboje uśmiechnęli się... znajomość już była zrobioną!.. Madelina, choć w tej chwili pustota przemagała w niej, przybrała powagę dziewiczą...

— Chodź pan tędy?

Dźwięk głosu jej był tak szczery, że młodzieniec ośmielony nieco, zdjął kapelusz z głowy, i rzekł do niej z naiwną prostotą:

— Przepraszam panią!.. ja zmyśliłem... bo...

— Domyśliłam się!.. ale może pan obejrzysz pracownię naszą?..

I szli oboje po obu stronach sztachetów. Zdjęcie kapelusza nie mało pomogło młodemu człowiekowi. Miał on długie bujne i jasne włosy. Madelina jako brunetka—co się zwykle zdarza— miała upodobanie w jasnych włosach. Młody blondyn podobał się jej, i mógł się podobać. Miał twarz młodą wyrazistą, pełną jeszcze wyrazu szczerego i naiwnego, niestartego ni doświadczeniem, ni zepsuciem. W całym blasku jaśniała na twarzy jego świeżość uczuć...

Szli pomału wzdłuż sztachetów, i zanim zaszli do furtki prowadzącej na dziedziniec, już się poznali, już byli związani nicią sympatyczną, która nigdy nie jest urojeniem, a w młodym wieku tak łatwo wysnuwa się z serca.

Rzeźbiarza nie było w domu; gospodyni domu była zajęta. Młodzi ludzie byli sami w pracowni. Rozmowy właściwej było nie wiele. Młoda rzeźbiarka pokazywała mu pozaczynane roboty samego rzeźbiarza i swoje własne. Zapał jej artystyczny udzielił się młodemu człowiekowi, który po raz pierwszy podobno uczuł silną władzę tego uczucia estetycznego, które nas przejmuje na widok wszystkiego, co jest prawdziwie piękne. Czy to piękno estetyczne uderzyło go więcej w martwych kształtach rzeźbionych, czy w samej rzeźbiarce?.. jest pytanie, na które odpowie najłatwiej każde młode uczucie. Piękne rzeźby podnosiły tylko piękność dziewicy, jakby ramy dobrze zastósowane do pięknego obrazu.

Taka była ich pierwsza znajomość. Rozeszli się jak dawno znajomi, dotknięci oboje czarem pierwszej miłości. Pożegnali się pół uśmiechem, a pół westchnieniem...

— Do widzenia się panie Kazimierzu!.. rzekła dziewczyna.

— Do widzenia się panno Madelino! odpowiedział młodzieniec.

I powiedzieli sobie tak naturalnie, jakby nie widzieć się było już dla nich zupełnem niepodobieństwem.

Co dalej nastąpiło?.. czyliż trzeba się nad tem rozwodzić. I gdzież znaleść barwy do opisania tego czaru, jakim pierwsza miłość otacza swoich wybranych. Kochali się oboje pierwszą miłością i byli szczęśliwi. Kochali się, zanim to sobie powiedzieli, bo jeżeli miło jest wypowiedzieć to urocze słowo: *kocham!*. stokroć więcej uroku jest w domyślaniu się. A nikt przecie nie jest domyślniejszym od młodych kochanków.

— Kocham ciebie!. mówili sobie naprzód oczyma, westchnieniem i uśmiechem.

— Kocham!.. zdało się im dźwięczyć w około harmonia powietrza i światła, i wszystkiego co ich otaczało.

I ten czas przed wyznaniem jest najszczęśliwszy, bo kochankowie otoczeni wówczas światem cudownych rojeń, wyższem uczuciem natchnieni, są jakby w onym raju bajecznym szczęśliwi bo niewinni, niewinni bo niedotknięci jeszcze kałem żądz ludzkich.

— Kocham ciebie!.. gdy raz powiedzą sobie kochankowie, tracą już anielskie swoich marzeń skrzydła, i z raju czystych i niewinnych uczuć, przenoszą się na rzeczywiste pole walki z ludzkiemi namiętnościami.

— Kocham ciebie!.. gdy już raz powiedzieli sobie Kazio i Madelina, już je bez końca powtarzać musieli.

A to słowo raz wymówione, to jakby słodki trunek upajający, od którego trudno ust oderwać, choć się co chwila wzmaga upojenie...

— Kocham!.. cudne słowo!.. niebezpieczne słowo! Jakże go nie powtarzać bez końca!..

To też młodzi kochankowie powtarzali go bez końca, pojąc się czarem tego cudownego słowa. A mogli go sobie powtarzać nieustannie, bo ciągle prawie byli razem z sobą.

— Madelino!.. rzeźbiarko moja!.. ty zrobisz mój medalion!.. na pamiątkę tej chwili.

— Kaziu mój drogi!.. gdybym ci mogła serce własne wydrzeć z łona!.. ujrzałbyś tam cudny a podobny twój medalion!.. ale chcesz?. siadaj Kaziu!..

I długo, bardzo długo trwało, zanim usiadł Kazio jak się należy, zanim go Madelina w należytem ustawiła świetle. I zawsze coś brakowało, bo Kazio był niezgrabny, a Madelina surowa w swych wymaganiach artystycznych. Ile przytem było pustego śmiechu!.. i łyskawic w oczach... i rumieńców na twarzach.

A jeszcze dłużej trwało, zanim medalion został zupełnie skończony, bo Madelina dziesięćkroć zaczynała i psuła, zanim była zadowolona z wyrazu.

— To co robię, jest martwe!.. mówiła do niego, martwe i nieme!.. a w tobie mój drogi jest pełne życie, co strzela z twych pięknych jak niebo oczu, promieni się na złotych włosach, z ust przemawia uśmiechem. Ja to życie twoje pojmuję sercem, ale nieudolne palce nie sprostają myśli, nie pośpieszą na równi z biciem serca.

— Madelino!. aniele mój!.. dziękował Kazio, klękając przed nią z zapałem.

Nic dziwnego, że robota szła powoli!.. choć czas ubiegał im tak szybko!..

W pracowni byli zawsze sami, bo Madelina oddawna już miała swą osobną pracownię. Nikt też im nie przeszkadzał, bo jakkolwiek się do niej przywiązali rzeźbiarz i jego żona, mieli dla Madeliny serdeczną przychylność przyjacielską, ale nie przywiązanie rodzicielskie, nie mieli ni serca ni oka ojca i matki. Sam rzeźbiarz ledwie uważał częstszą bytność młodego Kazimierza, który zresztą podobał mu się wcale, jako młodzieniec dobrze wychowany, i jak z powierzchowności tak i w rozmowie sympatyczny. Żona rzeźbiarza jako kobieta więcej zapewne zwracała uwagi, ale czyniła to jako kobieta dobra i poczciwa, o pojęciach wszakże ciasnych, zwyczajnych. Na miłość gorącą a wzajemną Madeliny i Kazia, którą odgadła oddawna, zapatrywała się ze stanowiska czysto niewieściego i praktycznego. Ileż to razy sama Madelinie powiedziała z uśmiechem:

— Śliczny chłopiec z tego Kazia!..

Madelinie przy tych słowach zawsze serce bić przestawało, a twarz pokrywała się gorącym rumieńcem.

— I kocha cię ogromnie! dodawała.

Madeliny rumieniec przybierał barwę coraz ciemniejszą, a serce nagle jakby w odwet chwilowej spokojności gwałtownie bić zaczynało.

Czasem przychodziły inne uwagi większej jeszcze praktyczności, ale niezdolne zapewne wpłynąć na młodego dziewczęcia codzień wzmagającą się namiętność.

— Tylko że uważasz Madelinko!.. Kazio sam dobry chłopiec, ale widzisz on młody jeszcze, a rodzice jego choć wcale nie bogaci, ale dumni urodzeniem i koligacyami swemi.

Madelina uśmiechnęła się tylko, bo ona była pewną swego Kazia, i zresztą przejęta szałem pierwszej miłości, ani myślała nawet o przyszłości.

— Z niego mąż byłby bardzo dobry!.. ciągnęła dalej żona rzeźbiarza.

— Mąż!.. powtórzyło dziewcze rozpromienione, a to słowo jakby płomieniem przebiegało przez wszystkie jej nerwy.

— Czy tylko zezwolą rodzice?.. bo ja się dobrze dowiadywałam; to ludzie dumni, mianowicie ojciec.

Na te słowa, często ledwie słyszane przez Madelinę, czasem zadrżała przecie zakochana dziewczyna, i patrzała na doświadczeńszą opiekunkę z pewną bojaźnią.

— Ja ci to mówię tylko, dodawała opiekunka pocieszając, abyś o tem wiedziała. To już twoja rzecz panicza nie popuścić!...

Cóż dziwnego, że namiętność obojga kochanków niczem nie przeszkadzana wzmagała się co dzień. Madelina żyła życiem nienaturalnem, exaltowanem.

Nie było tego jednego, który by był zdolnym dać jeżeli nie dobrą radę—bo kiedyż kochający usłuchali choćby rady najmądrzejszej — ale wpływać na Madelinę i czuwać nad nią z starannością silnego i rozgarnionego przywiązania. — Nie było kapitana, który Bóg wie którędy wałęsał się od kilku już miesięcy!..

Tymczasem zaszła nowa okoliczność, która kochanków— jeżeli to już stać się mogło— jeszcze więcej zbliżyła, a przynajmniej oddzieliła ich jeszcze więcej, od wszelkich jakkolwiek krępujących stosunków.

(*C. d. n.*)

Opatrzność Boża i szlachetność w prostym wyrobniku.

Goniec lwowski z dnia 5 maja b. r. opowiada, że w stolicy pięknej *Czerwonej Rusi* niedawno temu pracowało dwu ludzi w głębi studni klasztoru WW. Siostr miłosierdzia. Stało się, że usunęły się ściany i zasypały robotników. Miejscowy urząd budowniczy, nie mając nikogo do odkopania chociażby tylko ciał obu nieszczęśliwych, sprowadza górników z Kałusza, przynajmniej o 8—10 mil odległego. Ci po czterdziestu ośmiu godzinnej pracy dobywają się aż do zasypanych, którzy... prawie sześć dni przebywszy w ziemi, żywi jeszcze byli, bo zasypisko oparło się na rusztowaniu i zawisło nad nimi, jakoby dach jaki. Wiemy, że człowiek mając wodę, ośm dni bez pożywienia wytrwać może—ale wysławiamy palec Boży z całego serca i z całej duszy naszej dlatego, że zagrzebanym w ziemi wnętrznościach nie dopuścił zwątpić o zbawieniu i jeszcze dał tyle siły moralnej mniej osłabionemu towarzyszowi pracy podjętej, że słabszego do spuszczonej dla obu ich ratunku liny uwiązawszy naprzód... sam czekał na powtórne jej spuszczenie. Sławić nie przestaniemy Boga ojców naszych, że płomień miłości bliźniego wlewa nawet w serca najuboższych naszych braci.

Do tego Numeru dołączamy modę paryską ze miesiąc Kwiecień, dla prenumerujących na nie.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny.— Nakład Redakcyi.— Drukiem Fr. Xaw. Pobudkiewicza w Krakowie.